

01.07.2012 r. Glasgow Scotland

Sławomir Tomasz Roch
rycerzniebieski@wp.pl

„[...] I właśnie podczas jednej z takich wizyt, gdy mamusia była właśnie przy mnie, przechodził się po tym oddziale, ów Ukrainiec nie byle kto, bo przecież dyrektor całego szpitala. Widząc tak bardzo sponiewieranych przez los ludzi, a było tam w tych dniach, rzeczywiście dużo ofiar ukraińskich rzezi, wielu z głębokimi obrażeniami ciała i kończyn, powiedział dość głośno, wyraźnie i bez ogródek: „Dobrze wam tak Polacy! Jeszcze was za mało mordują!”. I choć sama nie słyszałam tych słów, albo już dziś sobie nie przypominam, to jednak wiem o tym bardzo dobrze bowiem osobiście słyszała to moja mama Adela. Mama niekiedy do tego wracała i zawsze zaznaczała, że słowa te padły na korytarzu szpitalnym, który również obłożony był gęsto, cierpiącymi ludźmi. [...]. Wiesława Nowacka

**WSPOMNIENIA WIEŚŁAWY NOWACKIEJ
Z D. SADŁO Z KOLONII BOLESŁAWÓWKA, POW. WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI
NA WOŁYNIU**

Nazywam się Wiesława Danuta Nowacka i mam 66 lat, mieszkam w Zamościu przy ul. Peowiaków 46/17. Urodziłam się 01 lipca 1937 r. w kolonii Bolesławówka, gm. Mikulicze, pow. Włodzimierz Wołyński, woj. Wołyńskie. Mój tatuś miał na imię Władysław Sadło, jego rodzice to Wawrzyniec Sadło i Marianna z d. Kowalska. Moja mamusia miała na imię Adela i była z d. Palczyńska. Moja babcia ze strony mamy miała na imię Rozalia, jej mąż zmarł po I wojnie światowej wskutek zatrucia. Właśnie rodzice babci Rozalii, mianowicie Jan i Magdalena Winiarz wg. historii, którą opowiadał mi tatuś Władysław przybyli na Wołyń, jeszcze w latach swojej młodości, gdzieś w II poł. XIX w.. Dowiedzieli się bowiem, że władze carskie wydały przywilej dla wszystkich, którzy chcieliby pomóc zagospodarować wołyńskie lasy. Na podstawie tego rozporządzenia każdy mógł własnymi środkami, zagospodarować pewną część lasu i w nagrodę otrzymywał na własność dużą część z tej ziemi, która została wydarta puszczy. Moi dziadkowie skorzystali z tej oferty, okazali się przy tym ludźmi silnymi, zdrowymi, pracowitymi, tak że po pewnym czasie mieli już, podobno nawet 60 morgów ziemi. Nie wiem ile w tym prawdy, ale to oczywiście, jak na tamte warunki bardzo dużo, a ponieważ ziemia tam żyzna, szybko doszli do dużego majątku, tak że Jan dokupił jeszcze gruntu. Nie tylko jednak w życiu doczesnym, byli szczęśliwi, także ich życie rodzinne, rozkwitało w najlepsze. Bóg im hojnie pobłogosławił i urodziło im się około 10 dzieci, w tym właśnie moja babcia Rozalia.

Ponieważ urodziłam się w roku 1937, zupełnie nie pamiętam pierwszych lat wojny i jedynie czasem, jak przez mgłę widzę obrazy naszego rodzinnego domu i gospodarstwa w kolonii Bolesławówka. Niemniej jednak już w roku 1943, a zatem w roku „*czzerwonych nocy*” na Wołyniu, moja pamięć rozwinęła się już na tyle dobrze, że zaczęłam zapamiętywać, szczególnie mocne dla mnie przeżycia. I tak bardzo dobrze widzę do dziś moje pierwsze lalki, które niestety uległy zniszczeniu, na pół roku przed naszą ucieczką z rodzinnego domu. Wydarzenia tamtej doby znam jednak dość dobrze bowiem o wielu przygodach z tamtych dni, często żywo opowiadano w naszym domu, jeszcze przez długie lata po wojnie. Zarówno mamusia, jak i tatuś bardzo chętnie wracali do tamtych wspomnień.

Z tego co zapamiętałam nasza kolonia Bolesławówka, choć była mała, liczyła tylko 11 numerów, była wybitnie polska, nie było u nas, ani jednej rodziny ukraińskiej, czy żydowskiej. Za to już dwa kilometry od nas, znajdowała się duża wieś ukraińska Horyczów. Pomimo sporego wymieszania ludzi w naszej okolicy, nie

słyszałam z ust rodziców, aby przed wybuchem II wojny światowej, dochodziło w naszych stronach do takich, czy innych konfliktów polsko – ukraińskich. Po prostu nie przypominam sobie, aby Polacy byli w jakikolwiek sposób prześladowani, lub dręczeni za swoje polskie pochodzenie. Przeciwnie z tego, co widziałam jako b. małe dziecko wynikało, że ludzie żyli w zgodzie i we wzajemnej życzliwości. Dla przykładu jeden z naszych sąsiadów Piotr Woźniak, jeszcze przed II wojną światową ożenił się z Ukrainką o nazwisku Habka i nigdy potem nie słyszałam, aby ktoś robił im młodym, jakiegokolwiek z tego powodu przykrości, czy prawił jakieś wymówki.

WYMORDOWANIE WIERNYCH PODCZAS NABOŻEŃSTWA

Pamiętam bardzo dobrze, że to była niedziela, moja babcia Rozalia wybrała się jak zwykle do kościoła w Chrynowie. W tym samym czasie do kościoła wybrała się także moja kuzynka Janina Winiarz, pochodząca z polskiej kolonii Smołowa. Obie szły przez las. W drodze nieoczekiwanie spotkały grupy uzbrojonych Ukraińców, którzy zdecydowanie nakazywali zawrócić do rodzinnych domów, w przeciwnym razie, grozili kobietom natychmiastową śmiercią. Babcia Rozalia widząc tak rozjuszonych banderowców, wcale się nie opierała i szybko zawróciła do domu, po temu zapewne uszła z tej rzezi z życiem. Tymczasem Janina, coś próbowała kombinować, może chciała tę wartę, jakoś bokiem obejść i została postrzelona przez Ukraińców w głowę. Straciła wtedy oko, ale szczęśliwie zachowała życie i zdołała jakoś uciec, gdyż ktoś pomógł jej wydostać się z tej opresji.

I gdy one właśnie szczęśliwie uchodziły z życiem, w katolickim kościele w Chrynowie, banderowscy „bohaterowie” rozpoczynali właśnie rzeź niewinnej polskiej społeczności, która przybyła na niedzielne nabożeństwo. Oto wierna relacja tych „bohaterskich zapustów”, spisana przez naoczego świadka pana Zygmunta Abramowskiego, ucznia gimnazjum, wówczas 18 lat, b. mieszkańca Chrynowa. Otóż tej pamiętnej „krwawej niedzieli”, już z samego ranka banderowcy rozstawili gęsto uzbrojone posterunki, wszystkie w niedalekiej okolicy od polskiego kościoła w Chrynowie. Jeszcze nikt nie wiedział po co to robią i dlaczego, ale już wtedy dobrze to nie wyglądało i ludzie zwyczajnie się bali. Wspomina pan Zygmunt Abramowski: *„Dnia 11 lipca 1943 r. służyłem do mszy świętej o godz. 9.00. Ksiądz Jan Kotwicki zaniepokojony również wytworzoną sytuacją, bez kazania odprawił szybko mszę świętą i powrócił na plebanię. Ludność wyszła z kaplicy i niebawem zaczęła powracać strwożona, że posterunki banderowców nie pozwalają jej powrócić do domów, zwracając z powrotem do kaplicy. Dodatkowo zaczęła jeszcze przybywać następna ludność na sumę na godz. 11.00.*

W międzyczasie przybyła na plebanię pani Płońska ze Stasina, której gospodarstwo położone było niedaleko, prosząc księdza o wyspowiedanie jej bardzo chorego męża. Ksiądz wziął wiatyk i we trójkę: ja, ksiądz i pani Płońska, wyszliśmy do chorego. Niedaleko kaplicy naprzeciw nam ze zboża wyszli banderowcy i początkowo nie chcieli nas przepuścić. Jednakże na prośbę pani Płońskiej i moje wytłumaczenie, że zaraz wracamy na nabożeństwo, bo ludzie czekają, przepuścili nas, obserwując bez przerwy. Po udzieleniu choremu komunii świętej, powróciliśmy z księdzem do plebanii nie zatrzymywani już przez liczne ukraińskie posterunki.

Ksiądz rozpoczął sumę. Ja z moim kolegą Jankiem Żebrowskim, stanęliśmy za drzwiami kaplicy, które otwierały się do wewnątrz. W kaplicy, razem z ludnością zawróconą z poprzedniej mszy świętej, było około 200 osób, przeważnie kobiet i dzieci. Po podniesieniu zauważyłem, stojąc obok drzwi, podejrzany ruch. Zobaczyłem, że kilku banderowców ustawiło ręczny karabin maszynowy typu Diechtiarewa i zaczęli strzelać do ludzi seriami i z pojedynczych karabinów;

*rzucano również dwa granaty, które jednak nie wybuchły. Schowałem się z kolegą za grube drzwi kapliczne. W świątyni zaś zaczął się popłoch i wrzask rannych. Ludzie zaczęli uciekać drzwiami bocznymi obok zakrystii i chóru. Kaplica jednak była otoczona szczelnie i bez przerwy rozlegały się strzały. W świątyni, bez przerwy ostrzeliwanej z rkm-u i broni pojedynczej, trwał krzyk, jęki i rodzierający uszy wrzask dzieci. **Ksiądz od ołtarza, w szatach liturgicznych, wraz z innymi kobietami uciekał przez zakrystię, ale na zewnątrz wszyscy zostali zabici.** Ojciec mój, który był organistą, uciekał z ludźmi przez drzwi przy chórze. Banderowski bandyta podbiegł i czterokrotnie strzelał do ojca, na szczęście był to niewypał i ojciec zdołał uciec.*

*Po jakimś czasie w kaplicy pozostali już tylko zabici i ranni. Banderowcy, widocznie czymś spłoszeni, wycofali się do lasu w pobliżu kaplicy. Skradając się ostrożnie, wyjrzelśmy zza drzwi i nie widząc już uzbrojonych banderowców, uciekliśmy do położonej obok kaplicy organistówki. **Wokół kaplicy i na ścieżce do organistówki leżało wiele trupów kobiet i dzieci, ranni czołgali się w zbożu.** W organistówce początkowo schowałem się z kolegą Żebrowskim w piwnicy, jednakże po jakimś czasie doszliśmy do przekonania, że Ukraińcy mogą przyjść i odnaleźć nas. Na zewnątrz trwała już martwa cisza. Stwierdziwszy, że w pobliżu nie ma już rezunów, uciekliśmy w zboża, skąd pelzając i biegnąc dotarliśmy do odległego ok. 2 km Oktawina. Mieszkańcy tej polskiej wioski, zaniepokojeni strzałami w Chrynowie, nie wiedzieli jeszcze, co tam się stało. **Opowiedzieliśmy z kolegą o masakrze kobiet i dzieci, o trupach widzianych na zewnątrz kościoła i zabiciu księdza.....***

***Przypuszczalnie podczas napadu na kaplicę w Chrynowie, zarówno w jej wnętrzu, jak i wokół świątyni oraz z organistówki i plebanii zginęło 150 osób, przeważnie kobiet i dzieci.** W tę samą niedzielę 11 lipca 1943 r. wymordowano Polaków w Grzybowicy, Czerniakowie, Niskieniczach, Stasinie, Kalusowie i na kolonii Franopol. Po wymordowaniu ludności polskiej w wymienionych miejscowościach, co nastąpiło w godzinach wczesnorannych, zaatakowana została właśnie kaplica w Chrynowie, probostwo, organistówka, a także położona obok gajówka i okoliczne domy polskie.*

Tej samej niedzieli wymordowana została ludność polska przybyła na nabożeństwa w następujących polskich kościołach w okolicach Włodzimierza Wołyńskiego: w Zabłóccach (Zabłotcach) około 200 osób, w Porycku około 500 osób i w Kiesielinie około 100 osób. Po południu w tymże Stasinie banderowcy zamordowali chorego Płońskiego i jego żonę. Zabity został, również w kaplicy w Chrynowie, dzierżawca majątku Chrynow: pan Salwa. Dlaczego banderowcy nie zaatakowali położonych niedaleko Oktawina i Smołowej? Prawdopodobnie obawiali się, że napotkają tam zbrojny opór i być może zorganizowaną obronę i dlatego zadanie to, odnoszące się i do innych okolicznych kolonii polskich, pozostawili sobie jako cel do zrealizowania w następnym etapie.”. Leon Karłowicz i Leon Popek, Śladami ludobójstwa na Wołyniu, Lublin 1998 r., str. 314-315.

Zacytowana powyżej relacja pana Zygmunta Abramowskiego nie została opowiedziana przez panią Wiesławę Nowacką, ale zamieściłam ją w tych wspomnieniach, by ukazać tragiczny przebieg masakry wiernych w kościele w Chrynowie. A właśnie na to nabożeństwo szły i na szczęście, jak się okazuje nie doszły, tej pamiętnej „krwawej niedzieli”, wspomniane przez autorkę, jej babcia Rozalia Palczyńska oraz kuzynka Janina Winiarz. Zatem relacja pana Zygmunta, bezpośrednio wiąże się ze wspomnieniami pani Wiesławy i dlatego, stało się wielce pożytecznym, zamieszczenie jej i w tym opracowaniu.

UCIEKALIŚMY A LUDZIE PŁAKALI I W GŁOS ROZPACZALI

Babcia Rozalia Palczyńska powróciła spiesznie do domu i zaraz opowiedziała wszystkim, co się stało tego dnia w lesie. Dzięki jej informacjom oraz innym tragicznym świadectwom, które wciąż napływały, mieszkańcy naszej małej kolonii Bolesławówka, błyskawicznie zorientowali się o grożącym nam niebezpieczeństwie. Ktoś inny potwierdzał jeszcze, że Ukraińcy rzeczywiście napadli zbrojnie na modlących się w kościele w Chrynowie. Opowiadał dla przykładu o trzech granatach wrzuconych do świątyni, które jednak na szczęście nie wybuchły. Nic dziwnego, że w naszej społeczności wybuchła niemal panika, wszyscy na łeb na szyję ładowali swoje rzeczy na furmanki i uciekali, co prędzej do miasta Włodzimierz Wołyński. W tym pośpiechu nie było czasu na żadne rzeczy osobiste, nie mówiąc o pozostałym mieniu, częstokroć dorobku całego życia.

Dokładnie pamiętam, jak moi rodzice, moje dwie siostry: Henryka i Kazimiera oraz rodziny najbliższych sąsiadów, w największym pośpiechu, załadowaliśmy się na furmankę naszego sąsiada, a następnie polnymi drogami dotarliśmy do miasta. Choć byłam dzieckiem zaledwie 6-letnim, to niesamowicie, ale naprawdę **pamiętam, jak bardzo to wszystko przeżywałam i jak bardzo się wtedy bałam. Dookoła ludzie płakali i w głos rozpaczali, to były naprawdę koszmarnie chwile i godziny. Na domiar złego na wozie, byliśmy poukładani, jak śledzie i było mi bardzo gorąco.** Kiedy wyruszyliśmy z domu, na dworze robiło się już ciemno, a kiedy znaleźliśmy się na łąkach, przylegających już do miasta, była już pełna noc. Zeszliśmy z wozu i dalej uciekaliśmy tymi łąkami, natychmiast poczułam dużą wilgotność podłoża. Właśnie tam na Zarzeczcu, poważnie zaziębiłam swoją lewą nogę, tak że już po kilku zaledwie dniach pobytu w mieście, rodzice oddali mnie do szpitala. Na razie jednak szczęśliwie brnęliśmy, pośród ciemności dalej, aż dotarliśmy do pierwszych zabudowań miasta. Zatrzymaliśmy się, u znajomych moich rodziców w domu pani Czubińskiej, a która na ten czas, była już wdową.

JESZCZE WAS ZA MAŁO MORDUJĄ...

Zdaję sobie sprawę, że słowa te są straszne, po prostu makabryczne, ale właśnie taki los na tamtem czasie, zgotował człowiek drugiemu człowiekowi. Było to tak, ponieważ moja noga bardzo spuchła i nic nie pomagało, trafiłam w mieście do szpitala. Dyrektorem tej ważnej placówki, był Ukrainiec człowiek wrogo nastawiony do nas Polaków. Moja mamusia Adela razu pewnego przyszła do mnie, aby mnie raz jeszcze pozdrowić i w mojej chorobie utulić. W tym samym czasie w szpitalu, było już bardzo dużo ludzi z licznymi obrażeniami i najróżniejszymi chorobami. Jako jeszcze małe dziecko, czułam się tam, pośród nieustannych jęków, tak bardzo zboliałych ludzi, wprost strasznie i nikomu czegoś podobnego nie życzę. Na domiar złego mój stan zapalny okostnej, był dość poważny, a ponieważ nie było wtedy antybiotyków, wyniszczał mój organizm.

Szczególnie cierpiałam po przebytych zabiegach, dlatego mamusia przychodziła do mnie często i z wielką miłością podtrzymywała mnie na duchu. Chciała i tak czyniła, abym w tym tak trudnym dla małego dziecka doświadczeniu bólu i cierpienia, nie czuła się sama. I właśnie podczas jednej z takich wizyt, gdy mamusia była właśnie przy mnie, przechodził się po tym oddziale, ów Ukrainiec nie byle kto, bo przecież dyrektor całego szpitala. **Widząc tak bardzo sponiewieranych przez los ludzi, a było tam w tych dniach, rzeczywiście dużo ofiar ukraińskich rzezi, wielu z głębokimi obrażeniami ciała i kończyn, powiedział dość głośno, wyraźnie i bez ogródek: „Dobrze wam tak Polacy! Jeszcze was za mało mordują!”.** I choć sama nie słyszałam tych słów, albo już dziś sobie nie przypominam, to jednak wiem o tym

bardzo dobrze bowiem osobiście słyszała to moja mama Adela. Mama niekiedy do tego wracała i zawsze zaznaczała, że słowa te padły na korytarzu szpitalnym, który również obłożony był gęsto, cierpiącymi ludźmi.

Nie pamiętam właściwie już dziś, jak długo byłam w szpitalu, ale przypuszczam, że było to około trzech tygodni i z nogą w gipsie wróciłam do domu. Niestety nie był to koniec mojego bólu i cierpienia bowiem pod gipsem, szybko rozmnożyło się robactwo i znów trzeba było gips z nogi zdejmować, ale i z tego wyszłam z Bożą pomocą. Ledwie trochę doszłam do siebie, a już Opatrzność Boża zafundowała mi kolejne doświadczenie, jeszcze dużo straszniejsze, niż to poprzednie. Zachorowałam bowiem na coraz bardziej powszechną w mieście, niezwykle groźną epidemię: „*dezynterię krwawą*”. Na początek dostałam biegunki i dużej temperatury, dość powiedzieć na tym, że już po kilku dniach zważyło mnie z nóg i straciłam przytomność. Niestety nikt nie usiłował nawet, wieźć mnie do szpitala, wszyscy wiedzieli dobrze, że z tą chorobą i w tamtym czasie, jest to po prostu nieosiągalne. I właściwie do dziś, jeszcze kilkadziesiąt lat po wojnie nie miałam pojęcia, że we Włodzimierzu Wołyńskim funkcjonował oddział specjalny dla ludzi, dotkniętym tym strasznym doświadczeniem. W naszych warunkach mogły przeżyć, tylko dzieci najsilniejsze, niestety wiele umierało, a miejscowa wspólnota wiernych, chowała je z żalem na miejscowym cmentarzu. Ja sama wyszłam cała z tej opresji, dzięki wielkiej troskliwości i zapobiegliwości mojej kochanej mamusi Adeli, która jakimś szczęśliwym trafem, dowiedziała się o pewnym skutecznym leku. Nabyła więc zioła, które miały zaskutkować, a które nazywają się „*krwawnik*”, codziennie cierpliwie parzyła je mi i podawała do picia. I rzeczywiście nastąpiła widoczna poprawa zdrowia, a choroba z czasem ustąpiła całkowicie. Moja męka trwała jednak i tym razem, znów około miesiąca. Działo się to wszystko w zimie i dzięki łasce dobrego Boga, na wiosnę 1944 r. brykałam już zdrowa.

OSTATNIE WOLYŃSKIE DNI

Nasza kolonia Bolesławówka nie uległa zniszczeniu i „*stała*”, aż do października roku 1943. I choć dookoła żywym ogniem płonęły całe polskie osady, jak na razie nie było właściwie wiadomo, dlaczego rezuny wciąż oszczędzali to miejsce. Przypuszczam jednak, że to był stary i sprawdzony proceder na tych naiwnych Lachów, którzy w swej bezgranicznej ślepcie sądzili, że jak już rzeź raz przeszła, to się już więcej nie powtórzy. A przecież z naszej kolonii nikt, jak dotąd nie został zamordowany. Jest to oczywiście nie tylko dar Bożej Opatrzności, ale i przytomności ludzi, którzy w czas, tak jak stali, tak bez niczego puciekali do miasta, ratując tym samym, najcenniejszy dar z ludzkiego życia. W tym miejscu pragnę się głośno zastanowić, gdyż nie sposób osądzać, myślę jednak, że wolno stojące chaty polskie na Bolesławówce, były właśnie klasycznym przykładem: „*rezunowego waba*”.

Wczesną wiosną nasz tatuś Władysław Sadło zdecydował, że musimy opuścić miasto i udamy się do bazy polskiej samoobrony na Bielinie. Mieszkali tam nasi kuzyni, w tym stryjeczny brat naszego tatusia Stanisław Sadło, który mieszkał w samym Bielinie oraz jego rodzona siostra Teofila Sadło. Właśnie w jej domu zatrzymała się tymczasowo nasza rodzina. Pamiętam jak wielu było tam naszych polskich partyzantów, jak wielu z nich przychodziło do domu Teofili, aby umyć się, zjeść i odpocząć nieco. Każdy to przecież wie, że żołnierska dola, a specjalnie frontowa służba, to nie weselna drużba. Byłam tym wszystkim niemal oszołomiona, a na pewno bardzo miło zaskoczona. Patrzyłam jak dziecko i widziałam, że naszych żołnierzy jest aż tyłu, taka masa, że było na co popatrzeć.

Zdaje mi się, że byliśmy tam przez całe lato, aż do wczesnej jesieni, kiedy wraz z Niemcami opuściliśmy rodzinny Wołyń. Przeszliśmy wtedy most w Zosinie i tak znaleźliśmy się na Ziemi Zamojskiej. W tej naszej tułaczce, na krótko zatrzymaliśmy się w Sitańcu pod Zamościem, a potem w Udryczach, aby w końcu osiąść na stałe we wsi Cześniki. Zajęliśmy dom po rodzinie ukraińskiej, która tak jak wiele innych, wyjechała w ramach wymiany na Ukrainę Sowiecką. Działo się to wszystko w pierwszych dniach wiosny roku 1945.

Jak już nadmieniałam wcześniej w naszym domu rodzinnym często powracał temat Wołynia, moi kochani rodzice Władysław i Adela nigdy nie zapomnieli o naszej rodzinnej kolonii Bolesławówka, o ofiarach w kaplicy w Chrynowie i na całym Wołyniu. Naturalnie wybaczam ukraińskim zbrodniarzom ich podłe, nikczemne i nieludzkie czyny, których masowo dopuszczali się na niewinnej ludności polskiej, przeważnie na bezbronnych kobietach i dzieciach. Nie wolno jednak nigdy zapomnieć, nie wolno dopuścić, by ofiara tak wielu niewinnych Polaków na Kresach mogła kiedykolwiek popaść w zapomnienie. Winniśmy wieczną pamięć, Tym wszystkim, którzy odchodzili w tak strasznych mękach i którzy pozostali tam już na zawsze, jakże często w zupełnie zapomnianych, nieoznakowanych miejscach.

Powyższe wspomnienia osobiście podyktowałam panu Sławomirowi Roch w styczniu 2004 r. w moim domu w Zamościu. Po przepisaniu i opracowaniu, raz jeszcze mogłam je przeczytać i skorygować, a prawdziwość zawartych w nich informacji, potwierdzam własnoręcznym podpisem.

Wiesława Nowacka

ZIARNKO DO ZIARNKA I ZBIERZE SIĘ MIARKA

Zatem wspomnienia pani Wiesławy Nowackiej z d. Sadło z kolonii Bolesławówka na Wołyniu, zostały spisane już w roku 2004. Krótco potem pani Wiesława goszcząc mnie w swoim mieszkaniu ponownie, 16 lipca 2004 r. w święto Matki Bożej Szkaplerznej, podpisała wspomnienia z myślą o przyszłej książce: „*Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia*”. Istotny fragment tych wspomnień, dotyczący się mianowicie wynurzeń „*miłosiernego lekarza*”, został opublikowany przed laty w tej właśnie książce. Drugą wersję ukończyłem bowiem w maju 2005 r. w Zamościu. Egzemplarze książki przesałem do kilku ważnych archiwów w Polsce, w tym na Jasną Górę w Częstochowie oraz na Katolicki Uniwersytet Lubelski w Lublinie (na KUL w 2009 r. , jako mój protest przeciwko nadaniu prezydentowi Ukrainy Wiktorowi Juszczenko tytułu doktora h. c.).

Pozostaje w kontakcie z wieloma osobami z Polski, które wciąż nadsyłają swoje relacje i uzupełniają ważne informacje o losach swoich najbliższych, na których wspomnienia natrafili w internecie. Osoby te mając dostęp do nowych, nieznanych mi jeszcze faktów, nadsyłają bardzo cenne materiały, które ja uważnie zamieszczam w książce. I tak, z Bożą pomocą, wciąż rozrasta się, ta bezcenna praca: „*Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia*”, o losach mieszkańców katolickiej parafii Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Swojczowie, podczas ostatniej II wojny światowej.

Od pierwszych dni wspieram także gorącym sercem b. cenną inicjatywę, ustanowienia przez Sejm Rzeczypospolitej Polskiej dnia 11 lipca w kalendarzu, jako: „*Dzień Pamięci Męczeństwa Kresowian*”. Z inicjatywą wystąpiło Porozumienie Pokoleń Kresowych, które od 16 maja 2012 r. zbiera podpisy pod Listem Otwartym do posłów bieżącej kadencji Sejmu RP. Na dzień dzisiejszy (01.07.2012 r.) pod Listem podpisało się już 1166 osób z obszaru całej Polski i z różnych zakątków

świata, gdzie gęsto rozsiani są Kresowianie i ich rodziny. Pod Listem wpisują się często także ludzie, którzy choć nie mają swoich przodków wśród Kresowian, jednak wewnętrzny głos sumienia jest dla nich silniejszy, niż jakakolwiek poprawność polityczna. Umiłowanie wartości wyższych oraz wrodzone zamiłowanie do prawdy, jako fundamentu zdrowego modelu społeczeństwa, pozostaje zaś już dla wszystkich pierwszym celem, niejako życiowym powołaniem.

Ze swojej strony dodam, że kiedy rozmawiam z bliskimi mi osobami, zawsze powtarzam, że w tej tak ważnej sprawie każdy, naprawdę każdy głos poparcia jest niezwykle ważny. Dla pozyskania kolejnych wpisów, rozesłałem wśród swoich najbliższych, zarówno w Polsce, jak i na Wyspach, w rodzinie, jak i wśród przyjaciół, takiej oto treści sms-ka: „*Witajcie. Serdecznie i b. gorąco zapraszam do wpisania się pod Apelem dla ustanowienia przez Sejm dnia 11 lipca 2012 r. – jako: „Dzień Pamięci Męczeństwa Kresowian”. Jeśli chcesz pomóc zachować pamięć o setkach tysięcy naszych Rodaków, okrutnie zamęczonych na Kresach przez OUN-UPA w latach 1939-1945, a Którzy po dziś dzień, często nie mają nawet prostego krzyża na swojej mogile, proszę otwórz stronę: www.wolyn.btx.pl i wpisz się pod Apelem. Proszę przekazać to info także innym, jeśli możesz! Razem możemy więcej. S.T.Roch – autor książki: ‘Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia’.*”

Ziarnko do ziarnka i zbierze się miarka, moja akcja wyzwoliła wśród najbliższych mi osób, choćby tę odrobinę zaangażowania i na dzień dzisiejszy, już 44 osoby wpisały się pod Apelem. Mam świadomość, że to b. dużo, gdyż liczy się naprawdę każdy głos. Widzę także, jak ta wydaje się drobna inicjatywa (w kontekście całej walki o prawdę o ludobójstwie na Kresach), spaja naszą rodzinę, rozbudza rodzinny patriotyzm, przywiązanie do kresowych korzeni. Jednak najbardziej cenne pozostaną dla mnie wpisy tych osób, (a jest ich niemało), które o tych tragicznych wydarzeniach na Kresach, wiedziały po dziś dzień b. mało. Teraz jednak zaproszone do wpisu pod Apelem, stawiały pytania i szczerze chciały wiedzieć, dlaczego tak. a nie inaczej właśnie, tam na Kresach, na Wołyniu się stało. Na pewno liczę, że także ta praca, te wspomnienia pani Wiesławy Nowackiej, przyczynią się, do lepszego poznania historii Kresów oraz losów kresowej społeczności, a to znowu zaowocuje nowymi, licznymi wpisami.

Powyższe wspomnienia pani Wiesławy Nowackiej z d. Sadło zostały po latach opracowane na użytek internetu. Pragnę w ten sposób gorąco zachęcić wszystkich, żyjących jeszcze parafian ze Swojczowa i okolic, ale nie tylko, jak jest choćby w tym przypadku, także z całego Wołynia i Kresów. Zachęcić gorąco do spisania swoich wspomnień, przeżyć i doświadczeń z tamtych jakże pięknych, a potem jakże dramatycznych lat. Raz dlatego, by dziedzictwo i ciężka praca naszych przodków, nigdy nie była puszczona w niepamięć, a dwa by Ci wszyscy, którzy pozostali tam już na zawsze, w końcu doczekali się choćby, prostego krzyża katolickiego na swojej, często zapomnianej już dziś mogile.

Mgr historii
Sławomir Tomasz Roch

Sławomir Tomasz Roch